

Wojciech Stanisławski: Złamany symbol

Najbardziej pechowa data w Polsce współczesnej? Czwarty czerwca.

Oczywiście, sam „pech” jest kategorią dość podejrzaną z punktu widzenia metafizyki, a chyba i probabilistyki. Jeśli jednak przymknąć przez chwilę oko na ten termin ze starych senników i zgodzić się, że owszem, każdy zna miesiące, imiona, koty i kwiaty, których pojawienie się pociągnęło za sobą niejake zawirowania fortuny – twierdzę, że najbardziej pechową datą w historii najnowszej Polski pozostaje czwarty czerwca.

Oczywiście, nie w tym znaczeniu, że wiąże się z nim pamięć wyjątkowego nieszczęścia czy katastrofy, dotyczących zbiorowość (w tej kwestii bezsporny pozostaje dziesiąty kwietnia), pamiętnej dla wszystkich śmierci lub bodaj dotkliwej dla licznego elektoratu porażki politycznej (choć tu, ze względu na los gabinetu Jana Olszewskiego, można już podnosić poważne wątpliwości). Nie, idzie mi raczej o pech trapiący jego nosiciela w podobny sposób, jak miało to miejsce w przypadku Jana Piszczyka czy Marka Piegusa: o pech odbierający powagę, podszyty groteską, płaczący sznurowadła.

Przeczytaj również: 4 czerwca. Mit (nie)założycielski [TPCT 427]

U jego początku stoi, oczywiście, całkiem poważny spór historyków o to, co właściwie (prócz bezspornego aktu głosowania, w którym wzięło udział 17 milionów obywateli PRL) miało miejsce 4.06.1989. Na ile to, co się stało, było zaskoczeniem dla wszystkich? Czy taki obrót spraw (upadek „listy krajowej”, triumf „S” w wyborach do Senatu) był przewidziany przynajmniej przez strategów po obu stronach sporu? A jeśli tak, jak zamierzali go wykorzystać?

Pytam o to, oczywiście, z pamięcią o oszałamiającej, ekstatycznej radości, która stała się wtedy udziałem wielu – ale też o jej wytłumianiu, wygaszaniu, zadeptywaniu. Tak, to te niesławne „wytyczne” Jacka Kuronia („«NSZZ Solidarność» ma nie organizować żadnych demonstracji z okazji «zwycięstwa nad koalicją»; w gazetkach i ulotkach sygnowanych przez «S» nie wolno używać określeń typu «śmierć komunie»”). Entuzjaści 4 VI słysząc o tych telefonogramach sięgają po mającą wszystko tłumaczyć frazę „samoograniczająca się rewolucja”, a realiści przypominają o broni służbowej ubeków, milicjantów i oficerów LWP, która tylko czekała, by wystrzelić.

Czy prawdopodobieństwo takiego kontrrewolucyjnego zrywu zostało przez kogoś (prócz może Biura Studiów MSW, czyli najpoważniejszego polskiego *think tanku* lat 80.) oszacowane, bodaj w 40 lat później? Czy też nastąpiono na gardło pieśni – ot tak, profilaktycznie? A żeby ironia była pełniejsza, a pytanie bardziej złożone – te zalecenia, by w żadnym razie komuny nie obrażać, znamy przecież nie z Jackowej spuścizny, lecz z zachowanej w IPN dokumentacji MSW: stratedzy „S” inwigilowani byli aż miło. Więc może, po latach konspiracy, prowadzenia

ważnych rozmów tylko na spacerze, zapisywania nazwisk drukarzy tylko na kartce, po wszystkim palonej w popielniczce – może była to finezyjna gra, może cytowany wyżej telefonogram Kuronia do Frasyniuka był tylko mydleniem oczu nadal groźnym nadzorcom? Ale jeśli tak – czemu ta historia, mimo wytrwałego budowania legendy, nie została nigdy opowiedziana?

Więc tak, dwuznaczność, pech i odbieranie znaczenia dokonały się tak naprawdę wtedy: w tym momencie założycielskim, w podcięciu nogi przy pierwszym kroku, w szarpnięciu ramienia, odrzuconego do patetycznego, spiżowego gestu rozwijanej flagi czy bodaj rzucanego kamienia. Jak bowiem ujął to autor poematu „Ren”, przywrócony polszczyźnie dzięki pewnej wybitnej powieści,

*Albowiem jakim się rodzisz,
takim już pozostajesz;
więcej od przeciwności
oraz od wychowania
znaczy chwila narodzin,
promień światła,
który narodzonego wita*

Tak więc promień został przygaszony. A jeszcze tragedia Tienanmen; w tej sprawie telefonogramów nie było i przez wiele dni bębniiono i skandowano pod ambasadą i konsulatami ChRL, smakując bezradność.

W kilka miesięcy później czwarty czerwca zyskał drugą szansę za sprawą słynnego zdania Joanny Szczepkowskiej. I nieważne, ze sens polityczny tego zdania można podważyć na wiele sposobów (dla jednych komunizmu w Polsce nigdy nie było, najwyżej *komuna*, dla drugich skończył się on w najlepszym razie po zakończeniu cyklu wolnych wyborów, czyli w dwa lata później, dla trzecich – w dwa lata później, po wyprowadzeniu wojsk sowieckich; dla uważniejszych obserwatorów życia, widnego, tajnego i dwupłciowego dogniwał jeszcze przez kilkanaście lat, dla najbardziej nieprzejednanych, śledzących kariery dawnych „komandosów Rozłubirskiego” w szkółkach walk MMA, nie skończył się nigdy). Nieważne, że zdanie aktorki stanowiło część kampanii charytatywnej „Artyści dla Rzeczypospolitej”: kampanii niewątpliwie organizowanej z dobrymi intencjami, ale z perspektywy tego, co wiemy dziś o skali ówczesnych potrzeb oraz prywatności, jakie dotyczyły ofiary transformacji – dość jednak groteskowej. Zdanie było naprawdę nośne i *sexy*: rezonowało.

Biedny czwarty czerwca już wtedy, a na pewno w kolejnych miesiącach, zamiast być symbolem wolnościowego zrywu, „gałązki mirtu, w której nosić będę miecz”, stał się czymś w rodzaju odrapanej piłki, kopanej bezlitośnie przez dwie drużyny. Tyle, że grały one nie na boisku przyszkolnym, lecz rozgrywały bardzo konkretny mecz polityczny, stojąc po stronie gabinetu Tadeusza Mazowieckiego (a szerzej – formacji, która go stworzyła i wspierała), jego dokonań i porażek – lub tego gabinetu (i formacji) krytyków. Może nawet nie tyle piłki, co laleczki voodoo? Kto zachowywał sceptycyzm wobec trybu rozmów prowadzonych w Magdalence czy treści zawartych tam uzgodnień, kto przywoływał negatywne zjawiska pierwszych miesięcy po 1989 (czy byłyby to zabójstwa księży, czy afera FOZZ, czy płonące akta) – miał tym samym poważny kłopot z wychwalaniem czwartego czerwca. Kto

wskazywał na słabość obozu solidarnościowego jesienią 1988, na konieczność pracy organicznej, na kolejne odbijane lub tworzone od nowa niezależne od PZPR instytucje – musiał tę datę chwalić.

A potem – 4 czerwca 1992. Aż chciałoby się użyć frazy „przypadek – nie sędzę”. Ale czy naprawdę ta data nie wynikała po prostu z kalendarza gorączkowych przetasowań? Przecież – spekuluję naiwnie – nawet, jeśli uznać by (co jest znacznym uproszczeniem) architektów odwołania ówczesnego rządu i wstrzymania lustracji za tożsamy z obozem entuzjastów „obalenia komunizmu 4 czerwca”, to przecież zdawaliby sobie sprawę, że dołożenie do tej daty kolejnego skojarzenia nie jest posunięciem fortunnym z punktu widzenia przekazu historycznego i doraźnej propagandy? Że przymnaża całej dacie ironii?

A jednak. A jednak w niecałych dwadzieścia lat potem, 24 maja 2013, Sejm RP przyjął uchwałę „w sprawie ustanowienia dnia 4 czerwca Dniem Wolności i Praw Obywatelskich” przeważającą większością głosów (405 za, 25 wstrzymujących się, żadnego sprzeciwu). Dzień ten nie stał się wolny od pracy (co jest najskuteczniejszym, jak się wydaje, sposobem nadania odpowiedniej rangi świętu) i nie przypominam sobie szczególnie hucznych jego obchodów przez kolejne 2-3 lata; w warszawskiej tradycji i tak, kto chce, idzie tego dnia na MDM, na chodnik przed dawną „Niespodzianką”, gdzie mieścił się sztab solidarnościowej kampanii w 1989.

Przeczytaj również: Dariusz Gawin – 4 czerwca – zapomniane zwycięstwo

Potem, czego już pewnie nie trzeba przypominać, rychło po roku 2015, rozpoczęła się długotrwała kampania wizerunkowa, mająca zbudować mocną, sięgającą utożsamienia analogię między czasami dawnymi i obecnymi: ugrupowania opozycyjne wobec PiS, na czele z Platformą, miały być w tym *cosplayu* „Solidarnością” podziemną, zaś obóz rządzący – WRONą. Nie było to w pełni konsekwentne – Jarosław Kaczyński okazywał się czasem w narracji opozycji Władysławem Gomułką, Mateusz Kijowski nie do końca sprawdził się w roli Wałęsy, obozy internowania stały puste, ale była *solidaryca* na transparentach, były oporniki i było rozkoszne moszczenie się na ramionach olbrzymów. Z czasem ta akurat kampania trochę przygasła, ale jej nowym zarzewiem i kulminacją stał się oczywiście „Marsz 4 czerwca” 2023 roku, przez Wikipedię uznany, chyba słusznie, za jeden z najliczniejszych w III RP. Więcej na nim było ośmiu gwiazdek niż oporników – ale zarówno data, jak hasło „W samo południe” nie pozostawiało wątpliwości: to Gary Cooper rusza na wraży reżim.

Trudno o bardziej podręcznikowy przykład skutecznego przejęcia „pakietu symbolicznego” (bo to i data, i stojące za nim wydarzenie, i krój czcionki, i emocje, i sznyt) – a zarazem zredukowania go z ligi symboli ogólnonarodowych do politycznych/partyjnych. Owszem, historia jest pełna podobnego zawłaszczania dat i bohaterów (kto w Polsce nie próbował grać Kościuszką?!) – rzadko jednak równie nieodległych w czasie i równie skutecznie.

Najzabawniejsze, że już po tym wszystkim – o, naiwności moja – naprawdę nadstawiłem przez chwilę ucha, słysząc premiera Tuska, proponującego zorganizowanie 4 czerwca 2027 Wielkiego Marszu Patriotów (tym razem – żadnych konotacji politycznych czy przedwyborczych! Po prostu: kto nie pójdzie, ten nie patriota. Parrycyda znaczy. Albo Moskwicin) oraz erygowanie pomnika Tadeusza Mazowieckiego przed KPRM.

Co prawda 4 czerwca 1989 Tadeuszowi Mazowieckiego ani śniło się, że zostanie premierem, i chyba nie śniło się to również poważniejszym od niego strategom. Co prawda ma już swój warszawski pomnik, na Kopernika 34, z obowiązkową w ostatnich latach ławeczką do przysiadania się (dzięki temu możliwe jednak będą *performances* polegające na spacerowaniu – zajmie to jakieś 40 minut – „od Mazowieckiego do Mazowieckiego”, oddające może nieco hamletyczny charakter premiera). Co prawda – po dwóch solidnych biografiach (przenikliwej – Romana Graczyka i pracowitej, choć odrobinę kolanopokłonnej Andrzeja Brzezieckiego), po reportażach i studiach o przełomie 89./90. nadal można się chyba spierać o pomnikowość jego rządów. Ale w głosie Donalda Tuska słysząc było wzruszenie i wtedy, gdy zapraszał na Marsz, i wtedy, gdy serdecznie, z imienia, wymieniał wszystkich żyjących premierów III RP, których chce zaprosić do honorowego komitetu budowy pomnika: „Jana Krzysztofa.. Hanię.. Waldka, Leszka... Jarosława i Mateusza...”. Pięknie, to wręcz panatadeuszowe „Kochajmy się” – aż po słowa premiera, które padły pod koniec wyliczenia: „Jarosław chyba nie odmówi, jak sądzicie?”. Gdyby skorpion z anegdoty Ezopa organizował Wielki Marsz Patriotów, ukłułby właśnie w tym momencie. To silniejsze od niego.

A przecież, psiakość, Polacy naprawdę zasłużyli na święto obalenia komunizmu!

Wojciech Stanisławski

Przeczytaj również: inne felietony Wojciecha Stanisławskiego z cyklu „Barwy kampanii”